**Fragment 1**

Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie jaśniało, kwitło, pachniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały znad pól porosłych zielonym zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

[2](https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nad-niemnem-tom-pierwszy.html%22%20%5Cl%20%22f2)

Z jednej strony widnokręgu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna piaszczystą ścianą wyrastający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba ogromnym półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieniegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiaste topole. Dnia tego w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobręczy złotej, przepasanej jak purpurową wstęgą tkwiącą w niej warstwą czerwonego marglu. Na świetnym tym tle w zmieszanych z dala zarysach rozpoznać można było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkudziesięciu dworków małych. Był to wraz z brzegiem rzeki zginający się nieco w półkole sznur siedlisk ludzkich, większych i mniejszych, wychylających ciemne swe profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami, w powietrzu czystym i spokojnym wzbijały się proste i trochę tylko skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerzynały drogi białe i trochę zieleniejące od z rzadka porastającej je trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przybiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dzięcieliny i smółek. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem bielały bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, słały się w trawach fioletowe rohule, żółtymi gwiazdkami świeciły brodawniki i kurze ślepoty, liliowe skabiozy polne wylewały ze swych stulistnych koron miodowe wonie, chwiały się całe lasy słabej i delikatnej mietlicy, kosmate kwiaty babki stały na swych wysokich łodygach, rumianością i zawadiacką postawą stwierdzając nadaną im nazwę kozaków. Za tymi pasami roślinności dzikiej cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosy jeszcze zielone, lecz już osypane drżącymi rożkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane słały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyny; puchem też, zda się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdzieniegdzie kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołymi rzekami przepływała po łanach niskich jeszcze owsów i jęczmion.

Wśród tej wesołej przyrody ludzie dziś także byli weseli; mnóstwo ich ciągnęło po drogach i miedzach. Gromadami na drogach, a sznurami na miedzach szły wiejskie kobiety, których głowy ubrane w czerwone i żółte chusty tworzyły nad zbożami korowody żywych piwonii i słoneczników. Od tych gromad lały się i płynęły po łanach strumienie różnych głosów. Były to czasem rozmowy gwarne i krzykliwe, czasem śmiechy basowe lub srebrzyste, czasem płacze niemowląt u piersi w chustach niesionych, czasem też pieśni przeciągłe, głośne, których nutę porywały i przedłużały echa ze stron obu: w borkach i gajach rosnących na wzgórzach i w wielkim borze, który ciemnym pasem odcinał pozłoconą, przetkaną szkarłatem ścianę nadniemeńską od wysadzanych srebrnymi obłokami błękitów nieba. W tym ruchu ludzkim odbywającym się na urodzajnej równinie czuć było najpiękniejszy dla wiejskiej ludności moment święta: wesoły i wolny w słoneczny i wolny dzień boży powrót z kościoła.

W porze, kiedy ten ruch znacznie już stawał się mniejszy, na równinie, z dala od tu i ówdzie jeszcze ciągnących gromad, ukazały się dwie kobiety. Szły one z tej samej strony, z której wracali inni, ale zboczyły znać z prostej drogi i chwilę jakąś przebyły w jednym z rosnących na wzgórzach borków. Było to przyczyną ich spóźnienia się, tym więcej, że jedna z nich niosła ogromną więź leśnych roślin, które tylko co i dość długo zapewne zrywała. Druga kobieta zamiast kwiatów trzymała w ręku niepospolitej wielkości chustkę, która za każdym jej szerokim i zamaszystym krokiem kołysząc się wraz z długim ramieniem powiewała jak sporej wielkości chorągiew. Z dala to tylko widać było, że jedna z tych kobiet miała w ręku pęk roślin, a druga szmatę białego płótna; z bliska uderzały one niezupełnie zwykłą powierzchownością.

Kobieta z chustką była niezwykle wysoka, a wysokość tę zwiększała jeszcze chudość jej ciała, które przecież posiadało szkielet tak rozrosły i silny, że pomimo chudości ramiona jej były szerokie i wydawałyby się bardzo silne, gdyby nie małe przygarbienie pleców i karku objawiające trochę znużenia i starości, gdyby także nie ostre kości łopatek podnoszące w dwu miejscach staroświecką mantylę z długimi, co chwilę powiewającymi końcami. Oprócz tej mantyli zaopatrzonej w płócienny kołnierz miała ona na sobie czarną spódnicę, tak krótką, że spod niej aż prawie do kostek widać było dwie duże i płaskie stopy ubrane w grube pończochy i wielkie, kwieciste pantofle. Ubiór ten uzupełniony był przez stary kapelusz słomiany, którego szerokie brzegi ocieniały twarz, na pierwszy rzut oka starą, brzydką i przykrą, ale po bliższym przyjrzeniu się uwagę i ciekawość budzić mogącą. Była to mała, chuda, okrągła twarz ze skórą tak ciemną, że prawie brązową, z czołem sfałdowanym w kilka grubych zmarszczek, z wpadłymi i kościstymi policzkami, z wyrazem goryczy i złośliwości nadawanym jej przez ostrość nosa i zaciśnięcie warg, a wzmaganym przez szczególną ognistość i przenikliwość oczu. Te oczy zdawały się być jedynym bogactwem tej biednej, zestarzałej, złośliwej twarzy. Może kiedyś były one jedyną jej pięknością, a teraz, wielkie i czarne, spod czarnych, szerokich brwi oświecały ją jeszcze przejmującym blaskiem; miały one spojrzenie przenikliwe, ostre, urągliwe i płomienność nieustanną, jakby wciąż z wnętrza podsycaną, a dziwną przy tej sczerniałej, w dłoni czasu czy losu zgniecionej twarzy. Szła szerokim, zamaszystym, do pośpiechu znać przyzwyczajonym krokiem, a długie jej ramiona, u których wisiały ciemne, kościste ręce, kołysały się u jej boków w tył i naprzód, białą, rozwiniętą chustką jak chorągwią powiewając.

**Fragment 2**

— Bardzo dobrze rozumiem, o co kochanej mamie najwięcej idzie. I jakże nie rozumieć? Soki ziemi, chleb cierpienia, Chrystusowe szaty, lud… słowem… jak mówi stryj Benedykt, to… tamto!… Nigdy o tym mówić nie chciałem, ażeby kochanej mamy nie gniewać i nie martwić. Szanuję zresztą wszystkie uczucia i przekonania, szczególniej tak bezinteresowne, o, tak nadzwyczajnie bezinteresowne! Ale teraz spostrzegam, że zachodzi konieczność szczerego rozmówienia się o tym przedmiocie. Otóż przykro mi to bardzo, *j’en suis désolé*, ale ja tych uczuć i przekonań nie podzielam. Tylko szaleńcy i krańcowi idealiści bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych. Ja także jestem idealistą, ale trzeźwo na rzeczy patrzeć umiem i żadnych pod tym względem iluzji sobie nie robię… a nie mając żadnych iluzji, nie mam też ochoty składać siebie w całopaleniu na ołtarzu — widma. Proszę o przebaczenie, jeżeli mamy uczucia czy wyobrażenia obrażam, ale rozumiem, doskonale rozumiem, że osoby starsze mogą zostawać pod wpływem tradycji, osobistych wspomnień etc. My zaś, którzy za cudze iluzje pokutujemy, swoich już nie mamy. Kiedy bank został do szczętu rozbity, idzie się grać przy innym stole. Tym innym stołem jest dla nas cywilizacja powszechna, europejska cywilizacja… Ja przynajmniej uważam się za syna cywilizacji, jej sokami wykarmiony zostałem, z nią przez tyle lat pobytu mego za granicą zżyłem się, nic więc dziwnego, że bez niej już żyć nie mogę i że tutejsze soki tuczą mi wprawdzie ciało w sposób… w sposób prawdziwie upokarzający, ale ducha nakarmić nie mogą…

Słuchała, słuchała i może miała takie poczucie, jak gdyby ziemia spod stóp się jej usuwała, bo obie jej dłonie mocno ściskały krawędź stołu.

— Boże! Boże! — kilka razy z cicha wymówiła, a potem jedną rękę od stołu odrywając i ku oknu ją wyciągając, z trudem, zdławionym głosem zaczęła:

— Idź na mogiłę ojca, Zygmuncie, idź na mogiłę ojca! Może z niej… może tam…

— Mogiła! — sarknął. — Znowu mogiła! Już druga dziś osoba wyprawia mię na mogiłę! Ależ ja za mogiły bardzo dziękuję… przede mną życie, sława…

— Bez sławy, bez grobowca, przez wszystkich zapomniany, w kwiecie wieku i szczęścia ze świata strącony, twój ojciec… tam…

— Mój ojciec — wybuchnął Zygmunt — niech mi mama przebaczy… ale mój ojciec był szaleńcem…

— Zygmuncie! — zawołała, a głos jej dźwięczał zupełnie inaczej niż zwykle: przeraźliwie jakoś i groźnie.

Ale i on także miał w sobie trochę popędliwej krwi Korczyńskich, którą wzburzył niezłomny opór matki.

— Szaleńcem! — powtórzył. — Bardzo szanownym zresztą… ale do najwyższego stopnia szkodliwym…

—Boże! Boże! Boże!

— Tak moja mamo. Niech mama mnie przebaczy, ale ja mam prawo mówić o tym, ja, który nie mogę zająć przynależnej mi w świecie pozycji, który nieraz w szczęśliwszych krajach czułem przybite do mego czoła piętno niższości, który o połowę uboższy jestem przez to, że mój ojciec i jemu podobni…

— Wyjdź! Wyjdź stąd! — nagle głos z piersi wydobywając zawołała. — Co najprędzej, o! Co najprędzej… bo lękam się własnych ust… o!…

Nie dokończyła, tylko z wysoko podniesioną głową i twarzą, której kredowa bladość w ramie czarnego czepka odbijała na tle zmierzchu, rozkazującym gestem wskazywała mu drzwi.

— Ależ pójdę! Pójdę! z mamą o tych rzeczach rozmawiać niepodobna! Mogiły, złorzeczenia, tragedie! Co się tu dzieje! Co się tu dzieje! I o co? Za co? Dlaczego? Gdyby o tym gdzie indziej opowiadać, nikt by nawet nie zrozumiał i nie uwierzył!

Wyszedł i po cichu drzwi za sobą zamknął.

Są ludzie, którzy płakać umieją tylko nad mogiłami drogich sobie istot, czym zaś jest rozpacz nad śmiercią uczuć i ideałów doznawana, nie wiedzą. Lecz ta wspaniała kobieta, która z twarzą jak opłatek białą stała śród zmroku niby w kamienną kolumnę przemieniona, czuła teraz, że na drodze jej życia i na dnie jej serca wznosi się druga mogiła, rozpaczniejsza jeszcze od pierwszej, bo nic już po sobie nie pozostawiająca. W tę drugą mogiłę kładły się na wieki i bezpowrotnie ją żegnały najdroższe jej uczucia i nadzieje, rozkładała się w niej, niby ciało w retorcie śmierci na marną parę przerabiane, wiara jej w geniusz i w szlachetność syna…

**Fragment 3**

Z dziecinnym uszczęśliwieniem, od którego oboje drżeli prawie, Witold Korczyński i Marynia Kirlanka patrzyli sobie w oczy. Wtem, jakby wtór do ich radości, rozległy się w salonie naprzód fortepianowe akordy, a potem przeciągłe tony skrzypiec. Przed chwilą pani Emilia uczuła, że dalsze rozmawianie z gośćmi stawało się dla niej coraz trudniejsze; sztuczne podniecenie, które z rana uczyniło ją żywą i mówną, ustępowało przed znużeniem i osłabieniem; szczupła jej kibić garbiła się i opadała na poręcz kanapy, po prostu siły ją opuszczały. Gasnącymi oczami porozumiała się z Justyną, która wstała i zbliżyła się do fortepianu. Orzelski, który po wysączeniu z kieliszka ostatniej kropli likieru i kilku krygach wykonanych przed rumieniącą się Teresą Plińską, drobnymi swymi kroczkami kręcił się dokoła swych leżących na fortepianie skrzypiec, ujął je teraz powoli, z lubością, jak najmilsze dziecię, i z oczami rozkosznie przymrużonymi, smyczkiem po strunie powiódł.

Dźwięki muzyki napełniły salon. Ojciec i córka grali jakąś piękną, długą i trudną kompozycję, przy której stopniowo, ale zadziwiająco Orzelski zmieniał się i przetwarzał. W miarę rozwijania się i potężnienia tonów, spod smyczka jego wychodzących, stary muzyk także wyrastał, usubtelniał się, szlachetniał. Niewielka i pękata postać jego nabierała linii prostych, niskie i białe czoło, z którego w tej chwili zniknęły wszystkie zmarszczki, wysoko podnosił, wzrok promienny, natchniony daleko kędyś posyłał. Lotne marzenia i skrzące zapały, morza rozkoszy i smutku, ze strun skrzypiec lejąc się w jego piersi, co chwilę zmieniały grę jego rysów, ścierając z nich wszelki ślad pospolitości i głupoty. W tym natchnionym artyście ani by poznać było podobna tego smakosza i zmysłowca, który przed chwilą nie mógł rozstać się z talerzem i słodkie oczy robił do starej panny z obwiązanym gardłem; ani tego dobrodusznego, głupowatego starca, który bez cienia urazy poddawał się drwinom znajomych. Było to prawie czarodziejstwem, a tą czarodziejką, która go różdżką swoją dotknęła, była wielka, całe długie już życie tego człowieka przenikająca namiętność.

Justyna swój trudny i zawikłany wtór wykonywała z precyzją i czystością, świadczącą o znacznej muzycznej wprawie, ale nie widać było po niej najlżejszego miłego albo przykrego wrażenia. Zupełnie obojętna, trochę nawet sztywna, z twarzą, w której żaden rys ani razu nie drgnął, widocznie spełniała obowiązek swój starannie, umiejętnie, ale zimno. Grała na pamięć; powieki miała spuszczone, a kiedy je podnosiła, wzrok jej był tak samo jak przedtem znużony i przygasły. Raz jednak odbiło się w nim wrażenie przykre. Naprzeciw siebie ujrzała stojącego we drzwiach salonu Różyca. Przez ostatni upłyniony kwadrans zaszła w nim dziwna zmiana. Opuścił był salon osłabionym krokiem, pożółkły i cierpiący; wrócił odmłodzony, świeży, promieniejący, z błyszczącymi oczami i lekkim nawet zarumienieniem na welinowych policzkach. Stanął w drzwiach, pociągnął w dół binokle i na grającą patrzał z takim wyrazem, że prędko spuściła ona oczy i ani razu już ich nie podniosła. Był to wzrok taki, jakim śmiały i pewny siebie zdobywca niewiast ogarnia, rozbiera i niejako w posiadanie swe obejmuje kobietę, której zażądał.

Muzyka trwała długo; niektórzy słuchali jej z uwagą i przyjemnością, a niektórzy z pootwieranymi od zdziwienia albo skrycie poziewającymi ustami. Na ganku nawet gwarne przedtem rozmowy przycichły. Gospodyni domu, nie potrzebując mówić, odpoczywała. W chwili, kiedy skrzypce i fortepian grzmiały świetnym i wybornie wykonywanym brio, Różyc nieznacznie i na palcach przesunął się przez salon i na niezajętym krześle obok Kirłowej usiadł. (…)

(…) Muzyka umilkła, kilka osób otoczyło Orzelskiego, dziękując mu i chwaląc odegraną kompozycję. On prostował się, promieniał.

— Caca uwerturka! — mówił — caca!…

Justyna powstała z wolna i odejść od fortepianu zamierzała, kiedy Zygmunt Korczyński Orzelskiego opuszczając, drogę jej zastąpił. Pięknej istotnie muzyki słuchał on był stojąc w pozie jakby z przyzwyczajenia malowniczej. Smutny wydawał się i rozmarzony. Teraz z niepewnym i przymuszonym uśmiechem na bladej twarzy, półgłosem przemówił:

— Zdaje mi się kuzynko, że nie lubisz muzyki tak, jak lubiłaś ją dawniej…

Na ostatnim wyrazie położył znaczący nacisk. Ona stała przed nim ze spuszczonymi powiekami, nieruchoma, ale wzruszenia swego ukryć zupełnie nie mogła.

— Nie — odrzekła z cicha — nie, nie lubię już muzyki wcale…

Stał ciągle tak, aby odejść i rozpoczętej rozmowy przerwać nie mogła.